

BAJKA.
O JASIU CO BYŁ GŁUPI, A STAŁ SIĘ SZCZĘŚLIWY.

Kiedys, dawno - ho ho! - dawno już temu, pewna księżniczka, przeciętnej urody, rodu wysokiego, Rachela jej było czy jakoś tak - została brutalnie zamieniona w żabę. Czynu tego dokonała wiedźma oczywiście, Józefa. Okropna baba, stara, mała, pękata i z grzywką.

Cel wiedźmie przyświecał matrymonialny, pokochała bowiem księcia, co był jak to słońko jasny, jak kadź dzemu słodki, no i duży. Dzidek mu było, nomen omen - to poważna bajka.

Niestety. Pokochała go bez wzajemności. On zaś pokochał księżniczkę, tę Rachelę czy jakoś tak. Przybył, popatrzył, pokochał i poszedł, a tupot jego kroków budził echem odległe i niezbyt przyjemne skojarzenia z pralnią, szczególnie u borsuków.

Właściwie to nie wiem, dlaczego. No, ale to przecież bajka.

Wiedźma Józefa, Ryszarda jej było na drugie, z zazdrości zamieniła księżniczkę w żabę. I poszła sobie, a tupot jej kroków nie budził dokładnie żadnych skojarzeń.

Więcej jej nie spotkamy.

Wiedźma Józefa Ryszarda Aleksandra Bzdrąg (de domo Potocki) wygląda tak:



Księcia też już nie spotkamy. Książę Dzidek Marian Helmut Sztolc wyglądał czasami tak:



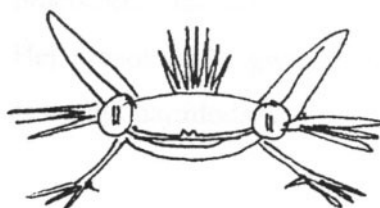
a czasami tak:



A tak nie wyglądał:



Księżniczka wyglądała do pewnego momentu tak:



A potem - lepiej nie mówić.
I to już koniec tła obyczajowego.

CZĘŚĆ DRUGA, CZYLI BAJKA WŁAŚCIWA.

Pewnego dnia taki jeden Jasiu, głupek i oryginał, idąc przez las pośliznął się na żabie, która kicała zdecydowanie za niknącym w oddali tupotem kroków, budzącym nieokreślone skojarzenia z pralnią, szczególnie u borsuków.

Pośliznął się, wyrznął głową w drzewo - i jak sobie nie przypomni! Wszystko sobie przypomniiał, a i zmądrzał przy tym niebywale.

Siadł sobie pod drzewkiem, rzucił szyszką w pomstującą na hałasy sowę (uszatą), odchrząknął i zaśpiewał:

Hej!
Muzyn ci ja Muzyn,
Chodzę poprzez lasy!
Hej! Duży ci ja duży,
bo nosę łobcasy!
Hej!

Tu zamyślił się głęboko, analizując treść pieśni. A potem wspomniął tatula.

Ojciec jego, Jerzy Tasak Małolepszy, chłopem był i to na schwał. Synów miał ze czterdziestu, a córek osiem, czy może na odwrót? Dość, że gromadka była liczna. Jasnym jest, że przy takim stadzie trudno o precyzyjne formy oddziaływań pedagogicznych, niuanse jakieś i w ogóle ceregiele. Ot, postawił się szczeniak czy nie wydoił krowy - to dostawał w pysk, bo posłuch i porządek musi być. I już.

No i był.

Tyle, że spuchnięta gęba rodzi frustrację, którą najłatwiej wyleczyć na młodszym braciszku. I tak dalej.

Hej, wesoło było, gwarno w chacie! Zawsze coś się działo.

Jasiu był najmłodszy.

CZEŚĆ TRZECIA. DRAMAT WŁAŚCIWY.

Kiedyś, kiedy Jasiu miał 10 lat, tatulo umor. Szedł, szedł i umor.

Śmiesznie tak, bo poleciał nosem w gnój i strasznie się upaprał.

Oj, wesoło było w chacie tego wieczoru! Co i rusz któryś z braciszków przypominał sobie, jak tatulo szedł, szedł i umor i upadł nosem w gnój i zaraz wybuchał śmiechem, z czystej radości waląc kogoś młodszego, który się akurat nawinał pod rękę, w pysk.

Aha, prawda, mamy nie było, dostała dożywocie za bezczelność. Wyraziła się publicznie o Księżciu Panie "ten kurdupel z lampasami", co go uraziło.

Mama i książkę wyglądali tak:



Pewnego

dnia, kiedy Jasiu miał 11 lat, najstarszy brat umor. Szedł, szedł i umor. Ileż

radości, tańca i śpiewu było tego wieczoru w chacie! Życie to bezmiar paradoksów...

Pewnego dnia najstarszy aktualnie brat szedł, szedł i umor. Ileż! I tak dalej. Życie to bezmiar paradoksów, chociaż daje się w nim zauważyć pewną logikę.

Pewnego dnia najstarszy brat i tak dalej.

I tak dalej.

Tak.

To już koniec retrospektywnych wspominek Jasia pod sosną podczas powrotu z ostatniego pogrzebu.

Paradoksalna logika życia polega na zachowaniu równowagi, a szczęście to dojście do równowagi w miarę wcześniej.

ZAKOŃCZENIE.

Kiedy Jasiu uświadomił sobie bezmiar swojego szczęścia, zerwał się na nogi i jak nie zacznie całować wszystko, co mu się pod ręce i usta nawinęło! A to: drzewo, kwiatki, sowę (uszatą), odłamki skał, niedźwiedzia (uciekł), borsuka, wodę, powietrze, znowu borsuka, motylki, dżdżownice, pająki, muchy, **jakieś resztki żaby...**

A tu grzmot się rozległ donośny i oto leżą sobie na ściółce, malowniczo oplątane powojem, resztki księżniczki (Rachelę jej było, czy jakoś tak).

Jasiu popatrzył, westchnął, splunął, szepnął "szkoda...", jeszcze raz splunął i poszedł, a cichnący tupot jego kroków budził u wycelowanego borsuka nieokreśloną tęsknotę za samicą.

I odtąd Jasiu, co był głupi, a stał się szczęśliwy, żył długo, długo, długo i intensywnie. Póki nie umor.

Borsuk też żył długo, czasem tylko czując nieokreśloną tęsknotę za Jasiem. Póki nie zdech.

Cóż, wszystko ma swój koniec.

Koniec borsuka wygląda tak:

